

MICHAŁ GŁOWIŃSKI*

Trzy tęgie głowy

Od redakcji – Z szuflady Profesora Michała Głowińskiego

W 1921 r. ukazała się, nakładem wydawnictwa Wielka Litera, książka *Tęgie głowy. 58 sylwetek humanistów*, napisana przez Michała Głowińskiego, członka rzeczywistego PAN, emerytowanego profesora Instytutu Badań Literackich PAN, wybitnego uczonego, literaturoznawcy, eseisty, autora wnikliwych monografii poświęconych analizie PRL-owskiej „nowomowy” (*Nowomowa po polsku, Mowa w stanie oblężenia. 1982–1985, Marcowe gadanie*). Michał Głowiński jest też autorem kilku zbiorów opowiadań nawiązujących do czasu Holokaustu oraz własnych życiowych losów (też autobiografia: *Kręgi obcości. Opowieść autobiograficzna*, opublikowana przez krakowskie Wydawnictwo Literackie w 2010 r.).

Książka została wyróżniona w 2021 r. Nagrodą Prezesa Polskiej Akademii Nauk: „za wnikliwy obraz specyficznych rysów polskiej humanistyki przez pryzmat życiorysów jej czołowych reprezentantów zawartych w książce *Tęgie głowy. 58 sylwetek humanistów*.”

Początkowo, publikowane w książce krótkie eseje przedstawiające sylwetki wybitnych, zmarłych polskich humanistów, nie były przeznaczone do druku. Intencją ich autora było, jak pisze:

[...] spoczywanie w szufladzie mojego biurka. Podjąłem taką decyzję z różnych względów. Przede wszystkim – i to był powód najważniejszy – nie chciałem, by po moich tekstach buszował cenzorski ołówek. Gdybym się na to zgodził, musiałbym uruchomić cenzora wewnętrznego i pisać, zastanawiać się, co z nimi zrobią na ulicy Mysiej (to tam mieścił się cenzorski urząd): puszczą – nie puszczą, tego zaś chciałem uniknąć; był to dla mnie bezwzględny warunek kontynuowania tego cyklu. Po zmianie ustrojowej – jak wiadomo – urząd cenzorski został zlikwidowany, ja jednak decyzji nie zmieniłem, postanowiłem, że cyklem nadal będę się zajmować i że za mojego życia nie opuści on szuflady (gdy piszę te słowa, liczy on ponad dwieście dwadzieścia sylwetek). Decyzja ta miała dla mnie wielką wagę, w ten sposób unikałem skrępowań i ograniczeń, a one powstają nie tylko za sprawą cenzury instytucjonalnej. W pewnym momencie jednak zmieniłem zdanie. [...] Cykl ma charakter subiektywny, a subiektywność wyraża się już w wyborze osób, o których opowiadam. [...] Skoro mowa o subiektywności, to traktuję ten cykl również jako opowieść o sobie, o tym ludzkim świecie, w którym przyszło mi żyć, działać, pracować. Między innymi z tego względu porządkuję te opowieści nie według alfabety czy dat życia bohaterów, ale według dat powstania poświęconych im tekstów (s. 7–8).

Większość z ponad 220 tekstów nie znalazła się w tej książce. Szkoda, aby zostały w szufladzie biurka. Redakcja „Nauki” jest wdzięczna Profesorowi Głowińskiemu za to, że zgodził się, aby w kolejnych kilku jej numerach (począwszy od niniejszego) ukazywały się 2–3 eseje. Ich wyboru – z nadal licznego zbioru – dokonuje, rzecz jasna, sam autor.

Jerzy M. Brzeziński

* Prof. dr hab. Michał Głowiński (mg@michal.glowinski.vdl.pl), członek rzeczywisty PAN, Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa

Wiktor Weintraub (1908–1988)

Pamiętam sytuację, w jakiej po raz pierwszy go zobaczyłem: w gmachu warszawskiej polonistyki, w dużej sali na pierwszym piętrze. Wygłosił odczyt o baroku. Przyjazdy uczonych z szerokiego świata, w tym także zagranicznych polonistów, nie były jeszcze wtedy zbyt częste (rzecz działa się na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych), a więc prelekcja profesora Harvard University, autora znanych prac o Kochanowskim i Mickiewiczu, zainteresowanie wzbudziła i przyciągnęła publiczność. Pamiętam jego wejście na salę, utworzył się swojego rodzaju orszak, w którym kroczyła warszawska profesura, a także jego pierwsza żona, sympatycznie wyglądająca brunetka (kilka lat później zmarła na raka). Nie poznałem jej, moje osobiste kontakty z Weintraubem zaczęły się wówczas, gdy był już wdowcem, a potem mężem Marii Eweliny Żółtowskiej, zwanej przez znajomych Maryliną. Nie jestem w stanie odtworzyć okoliczności, w jakich zetknąłem się z nim po raz pierwszy osobiście; było to chyba jakieś dziesięć lat po tym odczycie, zapewne w domu Zofii i Stefana Treuguttów, z którymi był zaprzyjaźniony. Pamiętam natomiast świetnie, że był sympatyczny i – co mnie zdziwiło – znał moje prace. Nasz bezpośredni kontakt korespondencyjny zaczął się od tego, że przysłał mi odbitkę swojego szkicu o Tuwimie, w którym polemicznie odwoływał się do mojej książki.

Potem wielokrotnie z Wiktorem Weintraubem się spotykałem w czasie kolejnych jego warszawskich wizyt, przyjeżdżał co kilka lat. Przebywanie w jego otoczeniu należało do niewątpliwych przyjemności, był człowiekiem towarzysko atrakcyjnym, na tyle interesującym i w rozmowie aktywnym, by znajdować się w centrum spotkania, i zarazem na tyle skromnym, by nie występować w roli tak zwanej gwiazdy wieczoru, zabiegającej o to, by uwaga zebranych nie schodziła z jego osoby i niedopuszczającej innych do głosu. Piszę o tym, bo gwiazdorski sposób zachowania u starych profesorów, niekiedy wybitnych i niepozbawionych kultury osobistej, był dość częsty. Weintraub lubił mówić, zwłaszcza opowiadać, ale w tę rolę nie wchodził. Nie czynił tego także z tej racji, że był ciekawy innych i chciał usłyszeć, co też oni mają do powiedzenia. Nigdy też, to jest zresztą oczywiste, nie przyjmował pozy uczonego z szerokiego świata, przyjeżdżającego do rodzimego zakątka, by uświadamiać maluczkich, co się na owym świecie dzieje. Nie występował też w roli cnotliwego niejako na mocy samej swej kondycji emigranta, który ocenia tych, co są skazani na nieustanne wchodzenie w kontakt z komunistycznym diabłem. I to wydać by się mogło oczywiste, ale oczywiste nie jest (by się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć po pisma Marii Danilewicz-Zielińskiej, jakże często natrętne w swym niewczesnym moralizowaniu). Weintraub, co zrozumiałe samo przez się, miał swoje poglądy i swoje opinie o ludziach, i gdy trzeba było, to je publicznie wyrażał, o ile się orientuję, z tego powodu parokrotnie odmawiano mu PRL-owskiej wizy, nie

aspirował jednak do roli moralisty. Tym bardziej, że doskonale orientował się w różnych krajowych uwikłaniach i, jak się zdaje, dobrze rozumiał zmieniające się sytuacje. Interesowały go one, wiem, że w listach do Zofii Stefanowskiej wielokrotnie pytał o krajowe realia, które z zaoceanicznej perspektywy nie wydawały mu się jasne. Kiedy Zosia powiadomiła go, że dyrektorem Instytutu Badań Literackich została profesor Teresa Skubalanka, odpisał, że niestety nie rozumie dowcipu.

Weintraub lubił opowiadać i umiał to robić, choć zwłaszcza w ostatnich latach powtarzał się, działał na zasadzie „znacie, no to posłuchajcie”. Opowiadał niespiesznie, umiejętnie rozkładając akcenty i z lekką ironią czy niekiedy autoironią, potrafił doprowadzić relację do efektywnej, czasem niespodziewanej, pointy. Znał wielu ludzi, doświadczenia miał szerokie, a więc tematów do opowieści mu nie brakowało. Charakterystyczne, nie opowiadał historii amerykańskich czy w ogóle zachodnich, a jeśli już nawet działy się one w którymś z krajów, w jakich przebywał jako emigrant, to dotyczyły one Polaków lub przynajmniej osób z Polski się wywodzących. Jego specjalnością były historie polskie. Dużo opowiadał o latach swej młodości, choć z międzywojennej Polski nie mógł wynieść tylko dobrych wspomnień. Był jednym z najzdolniejszych młodych historyków literatury polskiej, jednakże ze względu na pochodzenie nie miał szans na otrzymanie posady na którymś z uniwersytetów. Wykonywał różnego rodzaju prace, był między innymi przez kilka lat bliskim współpracownikiem „Wiadomości Literackich”, roboty te nie wiązały się jednak z głównymi jego zainteresowaniami, a te kierowały się zawsze ku historii literatury polskiej.

Studiował na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, jego mistrzem był Ignacy Chrzanowski. Nie stanowiło tajemnicy, że Chrzanowski, przyjaciel Dmowskiego, przez dziesięciolecia związany z narodową demokracją, nie żywił sympatii do Żydów. Oczywiście, był antysemitą w dawnym stylu, to znaczy takim, któremu nawet na myśl nie przyszło ostateczne rozwiązanie, ale wówczas nie wiadano, że jest to „dawny styl”, a więc postawa profesora mogła być przykra dla kogoś, kto należał do tych, którzy zostali z góry odrzuceni i potępieni lub – w najlepszym przypadku – spotykali się z niechęcią. Weintraub ciepło jednak wspominał Chrzanowskiego, stosunki, jakie się między nimi wywiązały, były więcej niż poprawne, można je chyba określić jako dobre. Był prawdopodobnie jednym z najzdolniejszych uczniów w jego trwającej kilka dziesięcioleci karierze pedagogicznej.

W swych wspomnieniach nie ukrywał niechęci do endecji, wypowiadał się o niej tak, jakby nadal stanowiła dla niego zagrożenie. Bo oczywiście była ona zagrożeniem także dla Żydów zasymilowanych, a może bardziej dla nich niż dla tych, którzy żyli w kręgu tradycyjnej lub unowocześnionej kultury żydowskiej. Weintraub był kulturowo zasymilowany, głęboko wrośnięty w polską glebę kulturalną, co jednak nie powodowało, że ukrywał swoje pochodzenie czy też się go wyrzekał. Zachował pewne charakterys-

tyczne elementy postawy, które wynikały z doświadczeń. Zasymilowanie nie chroniło go przed antysemickimi afrontami, a także nie ratowało przed Holocaustem. Duża część jego rodziny zginęła w czasie Zagłady, o tym nie mógł nie pamiętać. Powracał do tej kwestii dyskretnie i jakby nieśmiało, nie ulegało jednak wątpliwości, że wciąż go ona nurtuje.

Kiedy obcowało się z Weintraubem, rzucała się w oczy jego wielka kultura tak osobista, jak umysłowa. Kultura starej daty, trochę już niewspółczesna. Nie miałem wątpliwości, że jest on profesorem należącym do formacji zanikającej, dużo bardziej staroświeckim (w najlepszym tego słowa znaczeniu) niż jego rówieśnicy tworzący to tak dynamiczne w naszej dyscyplinie pokolenie 1910. Niewątpliwie panował on, chyba jako ostatni, nad całością literatury polskiej – od *Bogurodzicy* po współczesność. Panowanie to wynikało z czegoś więcej niż tylko z faktu, że wykładał na cudzoziemskim uniwersytecie, był jedynym polonistą, a więc musiał ogarniać całokształt. Interesował się przede wszystkim staropolszczyzną i romantyzmem, ale kompetentny był także, jeśli chodzi o inne okresy. Teoria literatury raczej go nie zajmowała, ale cenny artykuł o realizmie świadczy, że i w tej dziedzinie miałby wiele do powiedzenia, gdyby się nią zajął. Czytał prace z tej dziedziny, także polskie. Pewne tendencje budziły jego niechęć, czemu się trudno dziwić. Nie sympatyzował zwłaszcza z dziwactwami, w jakie popadła amerykańska teoria literatury, przede wszystkim z dekonstrukcjonizmem. Należał zresztą do tych historyków literatury, którzy czytają głównie teksty, sam uważał się chyba za komparatystę. Utwory czytał zawsze w oryginale. W czasie ostatniego spotkania u Treuguttów mówił, że czyta do poduszki *Eneidę*, oczywiście po łacinie, bo żaden przekład nie jest w stanie oddać tej eufonii, jaką udało się osiągnąć Wergiliuszowi. Swobodnie mówił w kilku językach.

W czasie ostatniej wizyty w Polsce był już człowiekiem ciężko chorym, miał trudności z chodzeniem, cierpiał na trochę zaleczonego raka pęcherza (to on właśnie miał go powalić). O przypadłościach swoich nie mówił, starał się zachowywać tak, jakby ich nie było. I w tym także wyrażała się jego niezwykła kultura osobista. Nie było w nim starczości, trudno byłoby się domyślać, że zbliża się do osiemdziesiątki. W formie umysłowej był doskonałej i do końca pracował. W ostatnich latach życia przygotował między innymi wydanie poezji Morsztyna dla „Biblioteki Narodowej”, od dawna zapowiadane. Nad krytyczną edycją tego poety pracował w młodości, wszystkie materiały zginęły jednak w czasie wojny. Powrócił do tego zadania w starości, by nim zamknąć swoje długie i pracowite życie.

A nasze relacje? Były bardzo przyjazne. Weintraub od pewnego momentu spotykał się ze mną za każdym swym pobytem w Warszawie – i była to oczywiście nie moja, lecz jego inicjatywa. Mnie właśnie zaproponował następstwo na katedrze polonistyki w harwardzkim uniwersytecie. Z wielu względów nie mogłem się na to zdecydować, zapropo-

nowałem Stanisława Barańczaka jako godnego następcę. Weintraub niewiele o nim wiedział, ale miał do mnie zaufanie i na tę kandydaturę przystał. Zrealizowanie tego pomysłu natrafiało na liczne przeszkody ze strony PRL-owskich władz, po długich i uciążliwych zabiegach udało się go jednak, jak wiadomo, wcielić w życie. Wiktor Weintraub wpadł na ideę, by przyznać mi Nagrodę Jurzykowskiego, wiem, że lansował moją kandydaturę, jak się okazało, z dobrym skutkiem.

Warszawa, styczeń 1989

Zofia Trojanowiczowa (1936–2015)

Poznaliśmy się w młodości, latem roku 1960. Moje koleżanki, siostry Danek, Bożena i Danuta, zaproponowały mi udział w dwutygodniowej górskiej wycieczce; nie pamiętam dokładnie trasy, zaczynała się ona, jeśli się nie mylę, w okolicach Krościenka, a kończyła – na wschód od Krynicy, dotarliśmy do Biecza. Oprócz sióstr uczestniczył w niej Jacek Trznadel oraz ich przyjaciółka z Poznania, Zofia Muszyńska, asystentka (bądź stażystka) na polonistyce na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Jedno ze zdjęć z tej wycieczki zamieszczone zostało w mojej książce *Kręgi obcości*, zobaczyć można na nim Zosię jako urodziwą młodą blondynkę. W roku następnym w zmienionym składzie wyruszyliśmy na podobną turę, tym razem w Tatry, ale w ekskursji tej ona nie uczestniczyła. W latach późniejszych spotykałem ją od czasu do czasu, ale już nie w okolicznościach wakacyjnych, ale zawodowych. Nie było po temu wiele okazji, obracaliśmy się w trochę różnych kręgach. W polonistyce poznańskiej wyodrębniły się dwa wyraźne zespoły. Ja i moi koledzy, zajmujący się literaturą nowszą i – przede wszystkim – teorią literatury, współpracowaliśmy z grupą skupioną wokół Jerzego Ziomka, znaleźliśmy się jednak z tymi, którzy wyrosli w zespołach, którym po wojnie przewodzili Roman Pollak i Zygmunt Szweykowski. Do tego kręgu należała Zofia od początku swej kariery akademickiej, by w pewnym momencie stać się jedną z reprezentatywnych i znanych jego osobowości. Z biegiem lat nasze kontakty się ożywiły. Spotykaliśmy się przy różnych okazjach w Warszawie, podczas moich pobytów w Poznaniu państwo Trojanowiczowie zapraszali mnie do swojego gościnnego domu. Do dzisiaj z przyjemnością wspominam te wizyty. Trudno mi jednak ustalić, od kiedy przyjął się ten zwyczaj. W związku z tym, że nie poznałem ani ich córki, ani syna, wnoszę, że stało się to stosunkowo późno, wówczas mieli już oni swoje rodziny i mieszkali osobno.

Zosia zajmowała się historią literatury polskiej pierwszej połowy XIX wieku, przede wszystkim twórczością i biografią Norwida. To właśnie ten poeta stanowił główny przedmiot jej dociekań i w tej dziedzinie zaznaczyły się jej zasługi. Jedna z inicjatyw zaowocowała księgami monumentalnymi, a mianowicie trytomowym dziełem zatytuło-

wanym *Kalendarz życia i twórczości Cypriana Norwida*, wydanym w roku 2007. Był to rezultat wieloletniej pracy zespołowej. Zosia była pomysłodawczynią i inicjatorką dzieła, pod jej kierunkiem je realizowano. Udało się jej stworzyć zespół złożony z byłych uczennic i nadać kierunek ich pracom. Ważny też był – co oczywiste – jej udział autorski. Tak się dziwnie składa, że Norwid prowokuje do ujęć w wysokim stopniu zideologizowanych, rozmaicie, a niekiedy wręcz kontrastowo, ukierunkowanych; z jak szerokim spektrum mamy tu do czynienia, łatwo sobie wyobrazić, jeśli z jednej strony wymieni się jego PZPR-owskiego miłośnika, Zenona Kliszkę, z drugiej zaś zabiegi jego komentatorów z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, zabiegających o beatyfikację poety. W tym właśnie miejscu trzeba szczególnie podkreślić, że dzieło, o którego zawartości i kształcie decydowała Zofia Trojanowiczowa, wolne jest od wszelkich ideologicznych pokus, niezależnie od tego, z jakiego kierunku by nadchodziły. Ma rzeczywiście charakter kalendarzowo-kronikarski, ściśle rzeczowy, jest to historycznoliteracka dokumentacja w najlepszym stylu. Różni się ona w sposób zasadniczy od praktyk Juliusza Wiktora Gomulickiego, traktującego nawet najbardziej skomplikowane utwory jako świadectwa biograficzne, z których można czerpać wiedzę o losach poety i konkretnych wydarzeniach z jego życia. W tym dziele nie ma tego rodzaju naiwności metodologicznych, które zresztą już w pracach Gomulickiego były anachronizmem. Inne prace Zosi, w większości o charakterze materiałowym, czy pośrednim, materiałowo-interpretacyjnym, też są cenne, to dzięki nim również zdobyła dobrą pozycję na polonistycznej agorze, stała się poważanym i liczącym się profesorem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, w ostatnich dziesięcioleciach to wokół niej skupiali się zdolni badacze literatury pierwszej połowy XIX wieku o pokolenie młodszy (niekiedy z nawiązką); wymienię tu Jerzego Fieckę, Krzysztofa Trybusia, Elżbietę Nowicką, Zbigniewa Przychodniaka. Zapewne jest ich więcej, ale wszystkich nie znam. W ogólności była poważanym (a także lubianym) profesorem uniwersytetu i zajmowała na swojej uczelni różne odpowiedzialne stanowiska.

Inną wielką zasługą Zosi było przygotowanie wspólnie z Jarosławem Maciejewskim obszernego zbioru dokumentów *Poznański Czerwiec 1956*, opublikowanego w roku 1981 przez jedną z agend „Solidarności”. Ukazanie się tego tomu było wydarzeniem także w wymiarze politycznym. I za czasów Gomułki, i za czasów Gierka o poznańskim buncie w zasadzie nie mówiono; o ile pamiętam, wyszła bodaj tylko jedna książka na ten temat, podobno umiarkowana w ocenach i w miarę rzetelna, ale nie w pełni odchodząca od oficjalnych wykładni (o ile dobrze pamiętam, autor tej pracy nazywał się Andrzej Choniawko). Bunt robotników w państwie rządzone przez partię, która przymiotnik „robotnicza” nosiła w nazwie, musiał być faktem, o którym wspominano niechętnie. Zofia jest współautorką artykułu wstępnego i – oczywiście – całej koncepcji tego tomu. Przygotowanie go było aktualną i przede wszystkim niezwykle szybką odpowiedzią na

wyraźne zamówienie społeczne, ujawniające się w okresie pierwszej „Solidarności”, potrzeba informowania o wydarzeniach historii najnowszej zaznaczała się silnie, nie można było jej nie zauważyć. W tym wypadku miała dodatkowo aspekt regionalny.

Zosia także w okresie późniejszym angażowała się w różnego rodzaju akcje społeczne, a nawet polityczne. Z hasła poświęconego jej w słowniku *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury* (tom VIII, 2003) dowiedziałem się, że należała do Unii Demokratycznej – Unii Wolności, w jej przypadku wybór partii centrowo-liberalnej wydał mi się naturalny i oczywisty, odpowiadał jej poglądom, postawom i chyba również – temperamentowi. A także tradycjom rodziny, z której się wywodziła. Opowiadała mi kiedyś o niej. Muszyńscy, związani z Poznaniem, byli rodziną kupiecką. W Wielkopolsce w okresie międzywojennym niezwykle silna była narodowa demokracja, a mieszczaństwo i drobnomieszczaństwo stanowiło jej bazę społeczną. Jej familia – podkreślała to w swej relacji – nie miała z endecją nic wspólnego, co powodowało, że daleka była od wszelkich objawów nacjonalizmu. Pamiętam jej barwną opowieść o którymś z wujków, który demonstrował swą sympatię dla Żydów, miał wśród nich wielu przyjaciół i znajomych. Wydaje mi się, że Zosia była osobą wierzącą, przywiązaną do tradycji Kościoła katolickiego. Był to katolicyzm liberalny i szeroko otwarty. Kiedyś z aprobatą wypowiadała się o tym, że jej wnuki na mocy decyzji rodziców nie chodzą na lekcje religii. Zapewne była świadoma, na jakim poziomie plasuje się szkolna katecheza i jak jest ukierunkowana.

Na koniec chciałbym napisać kilka słów o wydarzeniu, które gdyby nie ona, niewątpliwie nie miałyby miejsca. To dzięki staraniom pani profesor Zofii Trojanowiczowej zostałem obdarzony godnością doktora *honoris causa* Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Jej był pomysł, jej inicjatywa. Kiedy mi powiedziała, że wszczyna akcje w tej sprawie, byłem zdziwiony. Łączyły nas przede wszystkim relacje koleżeńsko-przyjacielskie, w dużo mniejszym stopniu naukowe. Wygłosiłem wprawdzie na zorganizowanej przez nią i Krzysztofa Trybusia sesji referat o położeniu starszego człowieka na przełomie wieków, a także zajmowałem się trochę Norwidem, ale z całkiem innego punktu widzenia, było zatem tego niewiele. Współpracowałem zaś z kolegami zajmującymi się teorią literatury, czyli z zespołem, który uformował Jerzy Ziomek. Zofia nadała sprawie bieg, twierdziła, że nie natrafiła na trudności. Została moim promotorem, do dzisiaj mam ją przed oczyma odzianą w togę w czasie uroczystości. W sumie: była jedną z najsympatyczniejszych osób naszego pokolenia w środowisku polonistycznym. Już po napisaniu tego portretu dowiedziałem się od profesor Seweryny Wysłouch, że przed pogrzebem odbyła się staraniem Rady Wydziału i szczególnie pani dziekan, profesor Bogusławy Kaniewskiej, uroczystość na Uniwersytecie, w której żegnano Zofię nie tylko jako osobę zasłużoną dla miejscowej polonistyki, ale także powszechnie przez kolegów cenioną i lubianą.

Warszawa, grudzień 2015

Jacek Łukasiewicz (1934–2021)

Jacek był moim rówieśnikiem zaledwie o pół roku starszym. Debiutowaliśmy jako krytycy literaccy bardzo młodo, mniej więcej w tym samym czasie (połowa lat pięćdziesiątych), wiele jednak nas różniło: Jacek współpracował z prasą PAX-u, a ponadto pisał wiersze, nie ograniczał się przeto do publikowania recenzji, pierwszy tomik poetycki wydał w roku 1959, a więc gdy miał lat dwadzieścia pięć. Z wydawania zbiorów wierszy nie zrezygnował, gdy był już znanym krytykiem literackim, jednym z najwybitniejszych w naszym pokoleniu, nie uczynił tego także wówczas, gdy po opublikowaniu obszernej monografii poezji Mieczysława Jastruna i habilitacji został profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego. Jego specjalnością była literatura najnowsza, nie tylko zresztą poezja. Od swych lat wczesnych zajmował się twórczością Teodora Parnickiego.

Łukasiewicz umiał łączyć własną twórczość poetycką z działalnością krytyka literackiego i – od pewnego momentu – historyka literatury. Paradoksalnie umiejętność łączenia tych dziedzin polegała na tym, że konsekwentnie je rozdzielał. W publikacjach krytyczno-literackich nie zajmował się swoją twórczością, bodaj nigdy do niej się nie odwoływał. Krytyka nie służyła ani uzasadnianiu własnej poetyki, ani jej popularyzowaniu, nie posługiwał się też własnymi wierszami jako przykładami szerszych tendencji, czy tekstami mającymi służyć uzasadnianiu poetyki, którą aprobował.

Jacek Łukasiewicz, jak wielu powojennych osiedleńców na tak zwanych wówczas Ziemiach Odzyskanych, pochodził ze środowiska lwowskiej inteligencji. Studiował we Wrocławiu i z tym miastem związało się jego dojrzałe życie jako literata i uczonego, aczkolwiek trudno o nim mówić jako o krytyku czy pisarzu lokalnym lub regionalnym. Publikował w prasie literackiej i w wydawnictwach o charakterze ogólnopolskim (między innymi w dwutygodniku „Współczesność” i w „Twórczości”), a także w czasopiśmie katolickich, tych najlepszych, by wymienić „Więź” i „Tygodnik Powszechny”. W okresie dojrzałym z PAX-em nie współpracował, relacje z nim i z jego instytucjami stanowiły epizod młodości – podobnie jak przypadku bliskich kolegów Jacka: Stanisława Grochowiaka i Władysława Lecha Terleckiego. Był to – podkreślam – epizod z początkowych lat, jeszcze sprzed październikowej odwilży. Domyślam się, że ideologiczne rygory socrealizmu z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych były w PAX-ie choć trochę mniejsze niż w wydawnictwach państwowych.

Jacek oficjalnie nosił podwójne nazwisko, publikacje swoje podpisywał tylko pierwszym – Łukasiewicz. Drugie brzmiało: Petelenz. Jaka jest jego geneza, nie wiem. Podobno „petelenz” znaczy w języku słoweńskim „kogut”. Kiedy Jacek – jak się czasem powiada – „poszedł w profesory”, był już krytykiem o znanym i cenionym dorobku, aktywnym uczestnikiem życia literackiego. Dobrze się stało, że w ten sposób pokierował on swoim

życiem. Dzięki temu uzyskał stabilizację zawodową, Uniwersytet Wrocławski zaś poszerzył kadre polonistów o wybitnego historyka literatury, zajmującego się literaturą XX wieku. Swym wysoce oryginalnym i solidnym dziełem o poezji Mieczysława Jastruna udowodnił, że doskonale panuje nad akademickimi formami wypowiedzi i oczekiwanymi w nich rygorami metodologicznymi. Jako komentator i znawca poezji najnowszej wykorzystywał z powodzeniem swoje wcześniejsze doświadczenia krytycznoliterackie. Był traktowany jako wybitny specjalista.

Jak większość z nas po zmianie ustrojowej poszerzył spektrum problemowe i materiałowe swych rozpraw, nie podzielał jednak poglądu głoszonego w latach dziewięćdziesiątych (a niekiedy także później) przez pewną liczbę modnisiów i koniunkturalistów, według którego warto zajmować się tylko – jeśli chodzi o literaturę polską tworzoną po roku 1945 – jedynie tym, co powstało na emigracji. Jacek był zbyt wytrawnym znawcą i analitykiem, by przyjmować z dobrą wiarą tego rodzaju restrykcyjne założenia. Przeciwnie, tuż po zmianie ustrojowej opublikował dwie świetne książki dotyczące swoistej sytuacji poezji w Polsce Ludowej, narażonej na ideologiczne ograniczenia i podlegającej cenzurze. Myślę tu zwłaszcza o nowatorskich książkach *Oko poematu* (1991) oraz – na pierwszym miejscu – *Wiersze w gazetach (1945–1949)* (1992). Dotyczą one głównie problemu niezwykle ważnego dla oficjalnego piśmiennictwa PRL-owskiego, a mianowicie propagandowego wykorzystywania literatury przez ówczesne władze (mówiło się wówczas o tak zwanych „wierszach na telefon”, czyli o zamawianych przez partię dla uczczenia danego wydarzenia, rocznicy, czegośkolwiek, uważanego przez PRL-owskie władze z takich czy innych względów za propagandowo ważne, osoby, na przykład rocznicy śmierci Dzierżyńskiego. Były to produkty słowne wysoce charakterystyczne dla socrealizmu w jego ostrej postaci. Jacek, subtelny analityk i znawca, nie żywił wątpliwości: z różnych powodów warto zajmować się takimi przykładami upadku i degrengolady. Warto, choćby w tym celu, by nikomu już nie przyszło do głowy lansowanie tego typu „twórczości”.

Jacka Łukasiewicza poznałem za młodu, gdy często przyjeżdżał do Warszawy. W pamięci z tamtych lat pozostało mi jednak przede wszystkim spotkanie we Wrocławiu. Wówczas tamtejszy oddział Związku Literatów Polskich zorganizował konferencję poświęconą Leśmianowi z okazji dwudziestej piątej rocznicy jego śmierci (był to zatem rok 1962). Wówczas raczej rzadko organizowano tego rodzaju sesje, choćby z tego powodu było to dostrzeżone wydarzenie kulturalne, uczestniczyło w nim kilku znanych pisarzy, między innymi Zbigniew Bieńkowski i Paweł Hertz. Brał w niej udział także Jacek, nie pamiętam wszakże, czy tylko jako słuchacz, czy także jako referent. Pamiętam zaś, że któregoś dnia oprowadzał grupę kolegów po Wrocławiu, pokazując i komentując różne zobaczenia warte miejsca (był to mój pierwszy pobyt w tym mieście). Robił to swobodnie, kompetentnie, w sposób jak zwykle sympatyczny.

Ostatni nasz kontakt miał miejsce przed dwoma laty. Zadzwoił do mnie, bo chciał pogadać z rówieśnikiem. Powiadomił, że owdowiał. Żony jego nie miałem okazji poznać. O śmierci Jacka Łukasiewicza, uczonego i poety, dowiedziałem się z prasy.

Warszawa, listopad 2021

Three outstanding minds

Profiles of the three Polish humanists as remembered by prof. Michał Głowiński.

Key words: Michał Głowiński, Polish humanists, Wiktor Weintraub, Zofia Trojanowiczowa, Jacek Łukasiewicz